

ULUBIONY KOMPOZYTOR

s. Alicja Jończyk RM

Nie wiem, czy wypada mi pisać o moim – naszym – pierwszym spotkaniu z Marianem Sawą. Na pozór wyglądało to nawet na parodię, w rzeczywistości było najbardziej autentycznym przeżyciem, sięgającym do głębokich pokładów ducha.

A było to tak: W kościele u Panny Maryi na Nowym Mieście odbywało się tzw. *Spotkanie Chórów*, czyli koncerty zgłoszonych zespołów śpiewaczych. Chór Studium Muzyczno-Liturgicznego im. Św. Piusa X w Warszawie-Aninie, który prowadziłam, brał udział w tych spotkaniach. Po skończonych występach, na dziedzińcu kościelnym, pełni świeżych jeszcze emocji, dzielił się wrażeniami. Wtem podchodzi jakiś brodaty pan, pada na kolana przede mną i całuje rąbek mego habitu. Niemało zmieszana, nawet przerażona, spojrzałam na otaczających, którzy dyskretnie uświadomili mi, iż to Sawa. Kojąc go, z mocą wyraziłam sprzeciw, podnosząc go z kolan, a próbując poluzować sytuację, skwitowałam scenę wnioskiem: *Wolałabym zamiast tej adoracji, otrzymać skomponowany dla nas jakiś utwór!* Na co pan Sawa: *A wy, śpiewałbyście mój utwór?* Na co otrzymałam entuzjastycznie pozytywną odpowiedź. *To proszę mi dać tekst. Ale niezwłocznie, bo ...* I tak to się zaczęło.

Współpraca nasza owocowała kolejnymi utworami, z których pierwszym był ów *niezwłoczny tekst* – Psalm 8. Dedykował nam ich wiele. Są to wyłącznie religijne kompozycje. Chętnie je wykonywałyśmy – harmonika, *smaak* sacrum, brzmienie, styl utworów Mariana Sawy bardzo nam odpowiadał. Określiłabym to jako minimum środków – maksimum efektu. Skutek jest taki, że jego utwory nie stanowią bariery trudności, są niezwykle świeże, interesujące, trudno rozstać się z nimi. Takie cechy nie są powszechne we współczesnej twórczości. Bywa, że jeżeli nawet dochodzi do wykonania danego utworu, to łączy się ono z takim wysiłkiem, iż traci się chęć utrzymywania go w programie.

O duchowej naturze Mariana Sawy i sacrum w jego muzyce postaram się napisać przy innej okazji, gdyż jest to temat godny szerszego potraktowania. Tu powiem tylko, skoro pytacie, że nasze relacje nie ograni-



czały się wyłącznie do muzyki. Kiedy dowiedziałyśmy się o problemach naszego ulubionego kompozytora, zrozumiłyśmy jego pełne pokory zachowanie w opisanym na wstępie spotkaniu. Właściwie było to chyba jedyne osobiste, zamierzone jego spotkanie z chórem, choć słuchał nas wielokrotnie. Ale nasze spotkania w duchu były systematyczne. Były dość radykalne, podejmowane z wiarą, z mocą, powiedziałabym z pasją! Do skutku! Jakaż wielka była radość, gdy po wielu – jemu tylko wiadomych nieudanych próbach – zaczęło się trudne trwanie na właściwej drodze.

Odwiedziłam go w chorobie. Budowała mnie jego cierpliwość, pomniejszanie własnych trudności, obiektywne zdanie o swym stanie i odwracanie tematyki w kierunku *ekstra* – nie częste wśród chorych.

Zachowam w najgłębszej pamięci ostatnie spotkanie. Oto pracuję jak zwykle na wieży, nagle dzwoni domofon i melduje się Sawa! Z trudem wspina się po schodach, a pod pachą dzierży świeżo wydane *Preludia organowe na tematy polskich pieśni kościelnych* – z wpisaną już dedykacją. Było to dnia 7. 02. 2005. Wkrótce odszedł *do domu*.